

polega na tem, że buduje wiersz architektonicznie, podrzędne epizody malując umyślnie słabiej, a ważne mocniej. Stąd efekt.

— „Najlepiej mi się pisze—powiada nasz satyryk—gdy mnie co zirytuje. Wtedy ani śpię, ani jem, aż napiszę, lepiej czy gorzej, a napisać muszę. Nieraz ochłonawszy, widzę, że niezupełną miałem rację i wówczas nie drukuję, ale napisać muszę; a napisawszy, a raczej wypisawszy się, jestem już spokojny i zapominam o tem, co mnie tak zirykowało. Idę ulicą, słyszę charakterystyczne zdanie, biorę je żywcem i widzianego człowieka ubieram w historyjkę—i typ gotowy.”

Z pisarzy ideałem Rodocia jest Dickens, a ze swojskich Mickiewicz i Syrokomla, dla właściwej temuż serdeczności. Co do wpływu, jaki wywarli na jego twórczość inni pisarze, wspomnieć należy przede wszystkim Bérangera.

Dla wyrobienia sobie tak zalecanej przez Kraszewskiego zwięzłości, poeta nasz wziął się do tłumaczenia Bérangera, którego jasność i zwięzłość jest nieporównana. Przez pół roku starając się zachować formę jego do najdrobniejszych szczegółów, a treść co do słowa, nieraz całymi dniami chodził po lesie, szukając wyjścia z gąszczu rymów. Ciężka to była praca. Nieraz upadał ze zmęczenia, ale zawsze w końcu odpowiednie wyrażenie znaleźć musiał. Tę zawziętość w tworzeniu, choć w mniejszym stopniu, ma on do dziś dnia, ale po 23-letniej praktyce, robota idzie mu lżej.

Owóż Béranger swoją zwięzłością, wycisnął w bitne piętno na fizygnomii literackiej Rodocia. Początkowo utwory jego są naśladowaniem poety francuskiego, z jego refrenami. Ze swojskich poetów, Kochanowski dał mu pogodę, Syrokomla—prostotę i serdeczność, Pol i Pasek—fantazję szlachecką, którą zrosztą miał już w sobie, od Lama nabral chęci zjeżdżenia tego, co mu się złem wydało. Te wpływy w połączeniu z jego nerwowo-sangwinicznym temperamentem, zrobiły go poetą.

Sądzę, że każdy pisarz jest sumą wielkich poprzedników, ale także ich różniczką.

Czem się różni humor i satyra Rodocia od innych? Kto u nas pisał satyry humorystyczne? Krasiecki? Satyry jego długie, rozwlekłe, robione na dawną modłę; nazwałbym je epicznymi, gdy Rodocia są więcej dramatyczne (np. monologi i dialogi).

W Galicyi miał Rodocia dwóch rywali, dwóch rzeczywiście utalentowanych pisarzy: Zagórskiego (Chochlika) i Stebelskiego. Niestety, jeden i drugi pisali przeważnie wiersze okolicznościowe, i to polityczne, tak, że pozostawili za ledwie po kilka utworów, zasługujących na nazwę prawdziwej satyry.

Humor Chochlika był cięty, zjadliwy, ale przyciężki. Humor Stebelskiego lżejszy, ale jakiś roznamiętniono-desperacki, gdy humor Rodocia jest zdrowy, nawet wówczas, gdy igra paradoksami.

Zresztą napisał on samych satyr i fraszek blisko tysiąc, co sprawia, że uważać go można w naszej literaturze za przedstawiciela satyryków w szorokim znaczeniu tego wyrazu. Nie rozrzucił bowiem swego talentu, jak tanci, na powieści, nowelle i t. p., ale dotknął wszelkich objawów życia społecznego, trzymając się właściwej sobie formy satyry i fraszek, a jeżeli pisywał felietony, jak np. *Listy do Redaktora* lub *Pogadanki*, to i te zaprawione są ironią, i z każdej z nich można wykroić po kilka satyr.

Jak już wyżej powiedzieliśmy, cechą satyr Rodocia jest zwięzłość, stanowiąca siłą. Żadnej gadaniny, sama treść konieczna, wzmagająca się z każdym wierszem i bijąca w ostatnim, jak maczugą. Uogólnia on każdą sprawę, którą porusza, i radby powiedzieć o niej wszystko, co się tylko da w kilku wierszach. A jeżeli, jak we fraszkach, nie rozbiiera sprawy, tylko dotknąć chce jednego jej szczegółu, najbardziej pięknego, to go przedstawi tak jasno i dotykalnie, że każdego przekona. To

jest jego największa sztuka, w której dotychczas nikt mu nie dorównał.

Działalność Rodocia 25-letnią podzielić można na trzy okresy, bo talent jego przechodził różne fazy. W pierwszym mamy próby łamania się z trudnościami, naśladowanie Bérangera.

Forma w tym pierwszym okresie była oczywiście słabszą, co zaś do treści, to przesiedliwszy się do Galicyi, stanął na gruncie silnie demokratycznym, kropiąc niemilosiernie stronnictwo krakowskie.

W drugim okresie wyzwała się Redoc z więzów naśladowania i stwarza odrazu zupełnie nową formę satyr, rodzaj miniaturowych dramacików w dialogach i monologach, rzadziej w opowiadaniach epicznych. Tu forma wiersza jest już doskonalszą. Jednocześnie, poznawszy lepiej stosunki, miarkuje się, a w końcu zaprzestaje walk ze Stańczykami, a nawet skłania się ku konserwatyzmowi.

W trzecim okresie opanował Rodoc w zupełności formę, mając już swoją własną. Co do treści, obejmuje coraz szersze horyzonty społeczne i dochodzi do pewnej bezstronności. W tym czasie pisać zaczął obok satyr tak zwane *Fraszki*, które są prawdziwymi arcydziełami.

Wiersze Rodocia zjawily się w pismach krakowskich i lwowskich w latach 1875 i 1876 choć już w Warszawie drukowano kilka jego utworów, a mianowicie przekładów z Bérangera i Wiktora Hugo w r. 1873. Równocześnie zaczął je autor puszczać w świat w oddzielnych tomikach, których wyszło dotąd 12. Wszystkie wyczerpane. Niebawem ma się ukazać Wybór jego najcelniejszych fraszek i satyr.

Dr. Henryk Biegeleisen.



## PANORAMA GOLGOTY

W CZĘSTOCHOWIE.

W obecnych czasach, kiedy prawie w każdym większym mieście zagranicznym wznosi się jeden, a nawet kilka budynków, przeznaczonych na pomieszczenie obrazów panoramicznych, dziwnem się wydać może, iż Warszawa, miasto bądź co bądź należące do większych grodów europejskich i będące niejako główną stacją środkową na drodze pomiędzy Wschodem a Zachodem, dotąd nie posiada ani jednej panoramy. Zwykłym jednak biegiem rzeczy, a także zgodnie z przyjętym u nas zwyczajem, nie było bo nie było długo, ale za to wkrótce będą aż dwie panoramy, bo jakżeby się obyło bez tego, aby w jakimkolwiek kierunku w czyn wprowadzona inicjatywa, na samą myśl, iż swemu twórcy może przynieść jaki taki dochód, nie znalazła naśladowców!

Zaznaczywszy fakt, iż Warszawę uprzedziła Częstochowa, powracam do tej ostatniej, by w dniu 22 b. m. i roku uczestniczyć tam przy otwarciu panoramy Golgoty.

Zzewnątrz budynek, jak wszystkie tego rodzaju gmachy, ma kształt rotundy z górnem oświetleniem; lecz wejźmy do środka. Z duchowieństwem więc na czele, w licznym gronie literatów, artystów i dziennikarzy, wchodzimy, pnąc się po schodach, do wnętrza budowli. Po skończonej ceremonii poświęcenia i otwarcia, każdy śpieszy ku baryerze, jaką, mieszczący się w środku pomost dla widzów jest otoczonym, by lepiej przyjrzeć się obrazowi. Ogólne wrażenie jest bardzo dodatnie. Zdudzenie przestrzeni, oparte na trudnem do rozpoznania przejściu naturalnego terenu w bardzo dobrze malowany na obrazie—ogromne, to też naokoło słyhać sprzeczki: co malowane, a co prawdziwe. Wprost wejścia na po-

most obraz przedstawia szczyt Golgoty, a na nim scenę ukrzyżowania, w oddali po za tem rozciąga się miasto Jerozolima, zajmujące znaczną część krajobrazu, który rzecz można, stanowi główną wartość artystyczną tego dzieła, jest bowiem o wiele lepiej malowany od wielu figur. Szczyt góry otacza tłum, straż na koniach stara się nie dopuścić go zbyt blisko. Z obu stron góry widać zbliżających się mieszkańców miasta, którzy na własne oczy chcą się przekonać o tym akcie ciemnoty i barbarzyństwa, jaki na osobie Chrystusa wykonano. Scena ta właśnie Odkupienia, najważniejsza i treść obrazu stanowiąca, najślabszą jest z całości, figury bowiem tak pod względem układu, jak i rysunku, wiele pozostawiają do życzenia, co im jednak nie przeszkadza plastycznie odchodzić od ła. Postępując od Golgoty w prawo, widzimy w oddaleniu na dole śpieszącą karawanę do miasta, postaci ludzkie, z których jedno przyglądają się zdaleka okropnej scenie, inne znów obojętnie uganiają się za sprawami codziennego życia, nie zwracając uwagi na fakt, który wywarł taki wpływ na losy całej ludzkości. Może to są przybysze, nieświadomi tego, co się dzieje, a może też ludzie, których tylko własne sprawy i zyski zainteresować mogą. Tło natury ludzkiej nie zmieni się, więc musieli być i w owych czasach tacy, do których serce cudza boleść i smutek przystępu nie miały. Dalej, po przeciwnej stronie obrazu wznoszą się pagórki; na nich tu i ówdzie figury ludzkie, zawsze ze swych akcyi doskonale się tłómaczące. Wogóle akcja, w całym obrazie przeprowadzona bardzo konsekwentnie, niezmiernie podnosi wrażenie prawdy, dając złudzenie i pod tym względem wielkiego prawdopodobieństwa. Im dalej od Golgoty, tem postaci są lepiej malowane, a grupa przed domem, na przeciwległej Ukrzyżowaniu stronie, wykonaną jest z dużem poczuciem artystycznym; scena owa przedstawia dom, przed którym kilku jeźdźców z grzbietów wielbłądzych obojętnie przygląda się ukrzyżowaniu; z sieni domu na wieść o tem, co się na szczycie Golgoty dzieje, wybiegła gromadka ludzi, z zajęciem i trwogą śledząc przebieg ukrzyżowania. I tak dalej wokoło, aż znów zbliżamy się do podnóża góry, mając przed sobą w oddaleniu bramę wjazdową miasta, z której ludność wpływa falą, dążąc ku górze, a tam, jak wspomniałem wyżej, u szczytu rozstawione straże zatrzymać ją usiłują. Bezwiednie śpieszą do stóp krzyża, skąd szczytne zasady nowej wiary spłynąć na nich niebawem mają; prawdopodobnie nie brak pomiędzy nimi i uczniów Chrystusowych, dla których nauka Jezusa, umęczonego za prawdę na szczycie Golgoty, nie jest już obcą. Panoramę wykonali malarze monachijscy, wykazując wielką wprawę techniczną w tego rodzaju dziełach. Naturalny teren, łączący się z malowanym, przedstawia grunt skalisty, naśladowany znakomicie. Kto był na otwarciu i widział obraz, pewno tego nie żałuje, a kto nie był, niech śpieszy obejrzeć. Dziesiątki tysięcy patników, corocznie odwiedzających cudowny obraz Matki Boskiej, powinny zapewnić materialne powodzenie przedsięwzięcia, którym jest pan dr. Lgocki, Krakowianin; jego też staraniem wznosi się gmach przy ulicy Oboźnej na pomieszczenie panoramy Tatr z widokiem na Morskie Oko. Obraz ten ma być niebawem przywiezionym i rozwieszonym, poczem zaraz rozpoczyna się roboty około prawdziwego terenu vel martwego, jak go w panoramowej nomenklaturze zowią, i łączenia go z malowanym na obrazie. Kogo więc nie stać było lub nie mógł być w górach, a ma ku temu ochotę, panorama Tatr ma temu zaradzić,—tak obiecuje przedsięwzięcia, a nazwiska autorów, o czem później, także dają pewną rękojmię, że tak być może.

J. M. R.

